

Kronika tygodniowa.

Król Jagiełło bił Krzyżaków
I pan Krupa ciębia białki...
Darmo suzyszczeb i i-b-że,
Krupa jagła być nie może!

Tak napisał swojego czasu poeta i miał rację. Słowa jego spełniają się ciągle i spełniać będą nie tylko do końca wojny, ale nawet i do końca świata. Rozmaitego rodzaju i kalibru Krup, większych i mniejszych, które chciałyby, by świat się nimi interesował, choć na to nie zasługują wcale, zawsze było, jest i będzie podostatkiem.

Obecnie galerię ich powiększył pan Olindo Amati, prezydent rzeszypospolitej San Marino. Czytując (o ile naturalnie udało mu się zgruntować tajemnice wielkiego i małego abecadła...) i słysząc wiele o koledze swym po fachu, prezydencie Wilsonie, którego imię jest dziś na ustach wszystkich polityków i niepolityków, pomyślał sobie, że dobrze byłoby, gdyby i jego osobą zaczęto się interesować. Raz już na tem polu próbował szczęścia, wypowiadając Austrii wojnę, gdy ona przecież się nie przelekała i nie prosiła o pardon, przycupnął, niczem zając w kapuście, i odtąd nic o nim nie słyszało. Aż nareszcie wypłynął znów na powierzchnię. Dopiął więc swego, świat przypominał sobie, że San Marino istnieje i ma bardzo morowego prezydenta, że niech się nawet i Wilson przed nim schowa.

Cóż bowiem zdziałał pan Olindo Amati, że się nim w wojennym czasie, gdy właściwie Wilson jest na porządku dziennym, zajęła opinia publiczna?... Drobnostka!... Doprowadził swą ojczyznę do bankructwa i to milionowego, czyli, innemi mówiąc słowy, okradł w najszpetniejszą sposob skarbu państwa na trzy miliony lirów, które przetrwonął w wesołym towarzystwie i skutkiem nieszczęśliwych operacji na giełdzie. Nie mogąc w inny sposób napętnić swej dziurawej kieszeni zaczął spekulować i... przespekulował. Pan ów, który ciężką żałobą okrył swą miniaturę ojczyzny, pochodzi z wybitnej miejscowej rodziny. Po różnych tramwajach i kolejach życiowych (z zawodu jest podobno szewcem i politykiem) dobił się wreszcie stanowiska prezydenta, głównie za pośrednictwo w wyrobieniu państwowej pożyczki, do której „stopienia“ tak się teraz wydatnie przyczynił. Nałapało bankructwo rzeszypospolitej, a to skutkiem defraudacji pana prezydenta oraz wydania przezeń pieniędzy papierowych na setki milionów lirów, wychodził bowiem z zasady, że papier jest bardzo cierpliwy. Jaka go za to czeka nagroda, tego nie wiem, sądząc przecież, że za tak wybitne zasługi na polu finansowem należy mu się, co najmniej, dożywotnie utrzymanie na koszt państwa w zakładzie, podobnym do naszego Wiśnicza.

Nie dały mu nieba sposobności do okazania przewag na polu walki i uwińnięcia tam głowy wieńcem z bobkowych liści, odznaczył się, jak umiał i w każdym razie przeszedł do historii.

Rzeczpospolita San Marino jest niezbyt wielka (coś niespełna sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni), niedługo też zajmowano się panem Amati, gdy tymczasem kolega jego, Wilson, jest ciągle na porządku dziennym jako polityk, mający nadać właściwy kierunek biegowi wypadków.

W poprzedniej kronice zaznaczyłem mimochodem, że pan Wilson nie spieszy się zbytnio z wypowiedzeniem Niemcom wojny, choć już zerwanie z nimi stosunków dyplomatycznych było gestem bardzo poważnym, i wyraziłem przypuszczenie, że przyczyną było prawdopodobnie oglądanie się na sąsiada zza pleców, to jest na Japonię. Przerahowałem się jednak, jak to widać z listu, nadesłanego mi onegdaj *express* z Waszyngtonu.

Treść jego jest następująca:

„Kochany Panie Kronikarzu! Ambasador Stanów Zjednoczonych we Wiedniu nadesłał mi drogą urzędową ostatni numer *Nwości ilustrowanych*, który, nawiasem powiem, zupełnie mi się podobał. Przeczytałem naturalnie i kronikę i ogromnie się zdziwiłem, że wmawia Pan we mnie, iż „mam boja“ przed Japończykami, którzy bardzo łatwo mogliby dobrać mi się do skóry od strony Oceanu Spokojnego.

Tak nie jest i dlatego proszę o sprostowanie na podstawie paragrafu dziewiętnastego ustawy prasowej, tym samym drukiem i na tem samym miejscu mylnej wiadomości, mogącej Czytelników w błąd wprowadzić, co zaś ważniejsze, przedstawiającej mnie w oczach Europy w niewłaściwym świetle.

Nie jest bowiem prawdą, jakoby bał się Japończyków, natomiast prawdą jest, iż ani ja ich, ani oni mnie wcale się nie boją i tak z mem państwem. Jak i z koalicją, z którą ja sympatyzuję, pragną utrzymać jak najlepsze i najwięcej korzyści przynoszące stosunki. Nowy japoński minister spraw zagranicznych, pan Mo-

tono, wygłosił nawet w Tokio z końcem stycznia wielką mowę polityczną, w której wyraził, że stosunki Japonii z Ameryką są najzupełniej przyjazne, a lekkie chmury, jakie pojawiły się tu i ówdzie, udało się rozprószyć.

Racz więc, kochany Panie Kronikarzu, zadość uczynić mej prośbie, a będę Panu mocno obowiązany.

W Wilson, prezydent Unii.

Jako człowiek, szanujący wszystkie paragrafy, więc też i dziewiętnasty ustawy prasowej, spełniał chętnie wolę pana prezydenta, zwłaszcza, że daje mi to sposobność poświęcenia kilku słów właśnie owej mowie ministra Motono, którą politycy, zwłaszcza Niemcy, zajmowali się w ostatnich czasach bardzo żywo i doszli do przekonania, że na interwencję Japonii absolutnie liczyć nie można. Od początku wojny stoi ona po stronie koalicji i dostarcza jej wszystkiego, nawet trumien, obecnie prawi dusery (którym nikt nie wierzy) pod adres m Stanów Zjednoczonych, by je zachęcić do energicznego wyłączenia przeciw Niemcom.

W owej mowie, o której w liście swym wspomina pan Wilson, oświadczył wyrażnie minister Motono, że wojnę obecną musi zakończyć tryumf sprawiedliwości, a bezpieczeństwo Azji wschodniej zależy od zwycięstwa koalicji. Czy potrzeba więcej?... Z koalicją panuje zupełna zgodność zapatrywań. Japonia postarała się już o to, by w danej chwili, gdy tego będzie potrzeba, zabezpieczyć swe prawa, no i otrzymać, co się jej za pomoc należy. Są, co prawda, kwestie, co do których nie zajmują jedni i druga strona zgodnego stanowiska, ale „jeśli się do nich przystąpi w uczciwej chęci szukania sposobu rozwikłania, ten się znajdzie ku obopólnemu zadowoleniu stron“.

Widzę więc, że nie miałem racji i że zawiodła moja domysłowość polityczna, której zadały kłam wyrzucenia japońskiego dyplomaty. Ale trudno! Niejedno mi się nie udało i nieraz jeszcze nie uda, że tylko wspomnę o owych niepotrzebnych narzekaniach na Boga ducha winnego niedźwiedzia za niestosowanie się do przysłowia, które kazało mu budę zburzyć, a on tego nie zrobił. Tymczasem pokazało się, że niedźwiedź postąpił sobie, jak się patrzy, tylko się trochę spóźnił, prawdopodobnie, by mi dokuczyć, gdyż brakło już czasu, na naprawienie złego, gdy kronika była na maszyni!

I teraz boję się jeszcze o tem wspominać, bo o niespodziankę nie trudno. Zaum skończy referat o odwilży, może być mroz i odwrotnie. Do mrozu zaś nikt nie wzdycha, gdyż brak nam węgla, a do wiosny, nawet kalendarzowej, jeszcze cały miesiąc.

Skończył się natomiast karnawał i to jest już pewne. Był to trzeci karnawał wojenny, jeszcze gorszy, niż dwa poprzednie. Wystarczy powiedzieć, iż przez cały ten czas, niegdyś rozrywką i zabawą poświęcony, nikt się nie bawił, na paczki (po pięćdziesiąt halerzy sztuka!) pozwolił sobie mógł chyba milioner, a zwykły chłopotacholek widział jeno z kalendarza, że był tłusty czwartek i osiatki!... Tak! Takich to dożyliśmy czasów dzięki Anglii, którą o y za to pokreśliła prawdziwa angielska choroba!... Wyrzekliśmy się paczków, co jednak gorzej, wyrzec się musieliśmy popielcowego śledzia, który, choć neutralny, doszedł do takiej ceny, iż można się w dzisiejszych stosunkach jedynie obliżać na jego wspomnienie. Niedawno skonstruowałem osobiście, iż zwykły marynowany śledź kosztuje tylko... koronkę i ośmieszyst halerzy. I to do tego co za okaz!... Głowa i ogon, między nimi trochę skóry i kości... Wytlumaczono mi, że teraz wszystkie śledzie takie chude ze strachu przed łodziami podwodnymi i to bez względu czy posiadają przynależność państwową do którejś z stron wojujących, czy też są zupełnie neutralne. A gdyby tak człowiek natrafił na śledzia, który połknął przez pomyłkę minę?... To byłoby okropne!... Bojąc się nadto, by się to przypadkowo któremu z gości nie przydarzyło, każą teraz kupey z góry płacić za śledzia, nim się go poda, bo trudno potem żądać zapłaty od rozszarpanego na kawałki konsumenta.

Karnawał był więc pod znakiem postu, pod jakim zaś znakiem będzie post, to zależy od tego, jak się ułożą stosunki, a tego nikt przewidzieć nie może, choćby nawet czytał wszystkie telegramy polityczne, własne i niewłasne, naszych dzienników, zwłaszcza, że one zbyt często, bo w jednym i tym samym numerze zmieniają orientację i raz powiadają tak, drugi raz inaczej. Czytamy więc na jednej i tej samej stronie: „Ameryka w przededniu wojny“, „Gorączkowe przygotowania wojenne w Ameryce“, a zaraz poniżej: „Chwiejne stanowisko Ameryki“... I bądź tu z tego mądrym.

Zdaje się jednak, że Amerykanie są raczej za wojną, niż za neutralnością, która im teraz nie przynosi już korzyści, skoro do gubernatora Nowego Jorku zgłosiło się pół miliona sufrażystek, ofiarując mu swą służbę i oświadczać o chęci wstąpienia do szeregów. Telegramy nie powiadały, jak je przyjął i go im na to odpowiedział, w każdym razie stwierdzić trzeba, że taka

armia amazonek, choćby pieszych, żadne inne państwo poszczycić nie byłoby się w stanie.

Także i pan Ford, dotychczasowy apostoł pokoju (*à la* Wilson), zmienił swoje zapatrywanie, rozwiązał Biuro pokojowe i rozpoczął fabrykację amunicyj i łodzi podwodnych, wydając równocześnie pismo „*Post bellum*“, poświęcone... idei pokoju!... Ale trudno! Wszak i Nobel dorobił się na dynamicie majątku, który potem przeznaczył na cele humanitarne i oświatowe.

Inne natomiast państwa neutralne, między nimi nawet Chiny, wystosowały do Niemiec jedynie noty protestujące przeciw ostatnim zarządzeniom na morzu i na tem się prawdopodobnie ograniczą. Jak postąpi rzeczpospolita San Marino, dotąd nie wiadomo, prawdopodobnie zabierze także głos, który powinien stanowczo, ze względu na jej powagę i popularność, mieć wpływ decydujący.

A niechajby wreszcie jakaś decyzja zapadła, bo, doprawdy, już życie człowiekowi w tych warunkach obmierzło. W dzień czeka cię na każdym kroku mnóstwo kłopotów, a i w nocy nie masz spokoju, gdyż ci się śni, że stoisz w ogniku i to na samym jego końcu. Wreszcie doczekasz się, iż na ciebie przyszła kolej, masz już wejść do sklepu lub piekarni, wtem się budzisz, zły, że napróżno straciłeś tyle czasu i że cię to i na jawie nie ominie.

Dawniej skarżono się na coś, czego brakuje, dziś każdy zastanawia się tylko nad tem, czego też nie brakuje, bo brakuje najniezbędniejszych artykułów. Prawda, że po części winą w tem niesumiennych spekulantów, którzy ciągną zyski z biedy ludzkiej. Izba handlowa zwraca się do nich wprawdzie z odezwą, przypominając im „honor kupiecki“, ale co im mówić o honorze, skoro oni tylko swój interes mają na względzie. A zresztą, czy to handluje dziś tylko kupey?... Każdy, nawet niedorostki, zabiera się dziś do handlu, byle tylko drzeć ze skóry swego bliźniego.

Nie lepsi są też i panowie piekarze, wiedzący dobrze o tem, że bez chleba nikt się obejść nie może, dobrze też robi magistrat, że od czasu do czasu przypomina się ich pamięci, urządzając rewizye i t. d. Oni z tego nie są, rzecz prosta, zadowoleni i przedstawiają się jako nieszczęśliwe ofary złości ludzkiej, gdy oni chcieliby tylko dla dobra społeczeństwa pracować. Rejonowanie sprzedaży chleba nie przypadło im też do gustu, opierają się wszelkimi siłami wprowadzeniu tego zarządzenia, czy im się jednak uda, przyszłość dopiero okaże.

O ile rejonowa sprzedaż chleba i przydzielenie konsumentów tej lub owej piekarni ma swoje dobre strony, o tyle znów za błąd uważam odebranie sklepom i sklepikom pozwolenia na handel chlebem. Być może, że ktoś tam dopuścił się jakiegoś wykroczenia w tym względzie, ale w takim razie trzeba było winnego ukarać, nie zaś ogół, jak dziś bowiem, to wszyscy na tem cierpimy, zwłaszcza zaś kawalerowie, od których trudno przecież wymagać, by w piekarni kupowali od razu cały bochenek chleba, gdy przeltem w różnych sklepach mogli go nabywać po kawałku. Naraz zjeść zaś cały bochenek niezdrowo, a nawet podobno sprzeciwia się to przepisom administracyjnym, wydanym celem uregulowania konsumpcyj mąki, przez tydzień zaś zeschnie jak kamień, zwłaszcza ze względu na obowiązkowy dodatek miazgi ziemniaczanej. Żal mi więc kawalerów i dlatego występuję w ich obronę. Ale sami sobie winni! Niech się żenią, będą mieć i własne ognisko domowe i kawałek świeżego chleba.

Aby naszą młodzież zachęcić do spieszenia jak najchętniejszego i najliczniejszego w jarzmo małżeńskie, należałoby zaprowadzić u nas nagrody za każde narodzone dziecko. Uczyniono to w Niemczech, w miejscowości Schöenberg. (Gdzie leży ta miejscowość nie wiem, na mapie znaleźć jej nie mogłem!) Tam każdy szczególnie ojców (lub mam!) otrzymuje za pierwszego noworodka pięćdziesiąt marek, za każdego zaś następnego o dziesięć więcej. Liczba nie jest ograniczoną, co wpływać musi bardzo dodatnio na przyrost ludności w danej okolicy, a budżetu zbytnio nie obciąża.

Łatwo zaś zdarzyć się może, że zostanie się szczególnie ojcem lub matką takiego cudownego dziecka, jak ów Szmulek Rzeszewski, o którym rozpisuje się *Przegląd poranny*. Co to za radość wówczas dla rodziców!

Ów Szmulek ma widocznie *fajn kepete*, licząc bowiem piąty rok życia, grywa już w szachy i popisywał się w tym kierunku w warszawskim Klubie szachistów. Podobno już od roku oddaje się tej namiętności, ale dość umiarkowanie. Grał więc, ale przegrał, co, jak korespondent twierdzi, jest dowodem, że nie mamy tu do czynienia z rzeczą wyuczoną i sztuczną.

Być może, że ma rację, choć mi to tłumaczenie bynajmniej do serca nie przemawia.

I niech mi kto powie, czy to nie cudowne dziecko!... Czy nie warto być ojcem takiego okazu i jeszcze otrzymać za to premię w gotówce?...